



ATRAMENTOWE SERCE

CORNELIA FUNKE

CORNELIA FUNKE

ATRAMENTOWE SERCE

*Z języka niemieckiego przełożył
Jan Koźbial*

KROPKA

SPIS TREŚCI

Nocny gość	9
Tajemnice	20
Na południe.....	28
Dom pełen książek	37
Zwykły obrazek	51
Ogień i gwiazdy	65
Co kryje noc	78
Same	80
Fatalna zamiana	85
Jaskinia lwa	96
Tchórz.....	101
Jeszcze dalej na południe.....	105
Wioska Kozioróżca	112
Wypełnione zlecenie	126
Szczęście w nieszczęściu	133
Pamiętny dzień	138
Zdradzony zdrajca	154
Czarodziejski Język	173
Niepewna przyszłość	187
Węże i ciernie.....	203
Basta	213
Bezpieczni.....	225
Noc pełna słów	232
Fenoglio	244
Złe zakończenie	256
Ciarki i przeczucie	262
Pomysł	270
W domu.....	274

Dobre miejsce na pobyt	278
Gadatliwy Pippo	284
Ukryci wśród wzgórz	302
Znowu w niewoli	311
Służąca Koziorożca	317
Tajemnice	326
Różne cele	336
W domu Koziorożca	343
Lekkomyślność	346
Ciche słowa.....	351
Kara dla zdrajców	360
Czarny rumak nocy	369
Farid	374
Puszysty stwór na gzymsie	380
Mroczne miejsce	391
Opowieść Farida	398
Kłamstwa na użytek Basty.....	404
Nocna pobudka	408
Sama	415
Sroka.....	423
Duma Basty i przebiegłość Smolipalucha	434
Elinor ma pecha.....	447
W opałach.....	455
Krucha istotka	458
Właściwe słowa.....	463
Ogień.....	472
Zdrada, gadatliwość i głupota.....	481
Cień	488
To tylko opuszczona wioska.....	499
Tęsknota	507
Do domu	514
Wykaz cytowanych źródeł	522

*Dla Anny, która odłożyła nawet Władcę Pierścieni,
aby przeczytać tę książkę.
Czy można wymagać więcej od córki?*

*I dla Elinor, która użyczyła mi swojego imienia.
Nazwałam nim jedną z postaci, choć nie była to królowa elfów.*

Szło, szło.

Szło słowo, szło,

szło przez noc,

chciało świecić, chciało świecić.

Popiół.

Popiół, popiół.

Noc.

Paul Celan, *Przez ciasną bramę*



1

NOCNY GOŚĆ

Księżycowy blask odbijał się w oku konika na biegunach i w oku myszki, kiedy Tolly wyjął ją spod poduszki, aby obejrzeć. Zegar tykał i zdawało mu się, że pośród ciszy nocnej słyszy tupot małych bosych stópek po podłodze, potem chichot i szepty i coś jakby odgłos przewracania kart dużej księgi.

Lucy M. Boston, *Dzieci z Green Knowe*

Tamtej nocy padał deszcz – drobny, szemrzący deszcz. Jeszcze wiele lat później wystarczyło, że Meggie zamknęła oczy, a znów go słyszała, jakby ktoś stukał w szybę delikatnymi paluszkami. Gdzieś w ciemności ujadał pies i Meggie przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

Twarda okładka uwierała ją w ucho, jakby ukryta pod poduszką książka chciała zwabić Meggie z powrotem pomiędzy zadrukowane kartki.

– Oho, musi ci być bardzo wygodnie z tym kanciastym, twardym przedmiotem pod głową – śmiał się ojciec, gdy po raz pierwszy znalazł książkę pod jej poduszką. – Przyznaj się, że w nocy szepcze ci do ucha swoją opowieść.

– Owszem! Ale to działa tylko u dzieci – odcięła się Meggie, a Mo uszczypnął ją w nos.

Mo. Meggie nigdy nie nazywała ojca inaczej.

Tamtej nocy – nocy, od której wszystko się zaczęło i która tak wiele zmieniła raz na zawsze – Meggie jak zwykle miała pod poduszką jedną ze swych ulubionych książek. Nie mogąc usnąć, usiadła, przetarła zmęczone oczy i wyciągnęła książkę. Kiedy ją otworzyła, strony zaszeleściły obiecująco. Meggie uważała, że ten pierwszy szept kartek jest za każdym razem inny w zależności od tego, czy już wie, co książka jej opowie, czy też jeszcze nie. Ale najpierw musiała zapalić światło. W szufladzie nocnego stolika miała schowane zapalniczki. Mo zabronił jej palić świece w nocy. Mo nie lubił ognia. „Ogień pożera książki” – powtarzał. Ale w końcu Meggie ma dwanaście lat i chyba potrafi upilnować parę płomyków. Uwielbiała czytać przy zapalonych świecach.

Na parapecie stały trzy lampki i trzy świeczniki. Właśnie zbliżyła zapaloną zapalniczkę do pierwszego z brzegu knota, gdy usłyszała na zewnątrz kroki.

Przeżrana zdmuchnęła zapalniczkę – jakże dokładnie przypominała to sobie po latach! – i klęcząc na łóżku, zerknęła przez mokrą od deszczu szybę.

I wtedy go zobaczyła.

Ciemność poszarzała od deszczu, a obcy na jej tle był zaledwie cieniem. W mroku widziała wyraźnie tylko jego twarz. Do mokrego czoła kleiły się włosy, deszcz spływał po nim strugami, ale on nie zwracał na to uwagi. Stał nieruchomo, obejmując piersi skrzyżowanymi ramionami, jakby w ten sposób próbował się ogrzać. Stojąc tak, wpatrywał się w ich dom.

„Muszę obudzić Mo!” – pomyślała Meggie.

Jednak nie ruszyła się z miejsca. Serce waliło jej jak młotem. Gapiła się w noc, jakby obcy zaraził ją swoim bezruchem. Nagle odwrócił

głowę i Meggie wydało się, że patrzy jej prosto w oczy. Błyskawicznie zsunęła się z łóżka, zrzucając na podłogę otwartą książkę. Boso wybiegła na ciemny korytarz.

W starym domu panował chłód, choć był już koniec maja.

W pokoju Mo paliło się jeszcze światło. Często czytał do późna w nocy.

Meggie odziedziczyła po nim miłość do książek. Kiedy obudzona ze złego snu szukała u ojca schronienia, nic nie działało na nią tak kojąco jak spokojny oddech Mo tuż obok i cichy szmer przewracanych kartek. Nic nie było w stanie tak szybko przepłoszyć złych snów jak szelest zadrukowanego papieru.

Postać za oknem nie była jednak snem.

Książka, którą tamtej nocy czytał Mo, miała bladoniebieską płócienną oprawę. To także przypominała sobie później Meggie. Pamięć przechowuje nic nieznaczące drobiazgi!

– Mo, na podwórku ktoś jest!

Ojciec podniósł głowę, patrząc na nią nieprzytomnie, jak zawsze, gdy przerywała mu czytanie. Potrzebował czasu, by powrócić z innego świata, z labiryntu liter.

– Ktoś jest? Jesteś pewna?

– Tak. Gapi się na nasz dom.

Mo odłożył książkę.

– Coś ty czytała przed snem, Meggie? Czyżby *Dr. Jekylla i Mr. Hyde'a*?

– Proszę cię, Mo, chodź szybko! – zawołała Meggie, marszcząc czoło.

Nie uwierzył jej, ale za nią poszedł. Meggie ciągnęła go za sobą tak gwałtownie, że uderzył boleśnie palcami bosych stóp o stertę książek. Bo o cóż innego? W całym domu leżały na podłodze piramidy

książek. Książki nie tylko stały na regałach, jak u innych ludzi, ale też walały się pod stołami, krzesłami, w rogach pomieszczeń. Były w kuchni i w toalecie, na telewizorze i w szafach ubraniowych – małe sterty, duże sterty, książki grube, cienkie, stare, nowe... Czekwały na Meggie na stole przy śniadaniu – kusząc otwartymi stronami, w słotne dni przepędzały nudę, a czasem można się było o nie potknąć.

– On tam stoi – szeptała Meggie, ciągnąc Mo do swojego pokoju.

– Czy ma owłosioną twarz? Jeśli tak, może to być wilkołak.

– Przestań!

Meggie spoglądała na niego surowo, choć żarty Mo umniejszały jej lęk. Już prawie sama nie wierzyła w tę postać na deszczu... dopóki nie podeszła do okna.

– Tam! Widzisz go? – szepnęła.

Mo w milczeniu patrzył przez okno ociekające deszczem.

– A przysięgałeś, że do nas nigdy nie przyjdzie włamywacz, bo tu nie ma co kraść.

– To nie jest włamywacz – odparł Mo, ale kiedy odwrócił się od okna, minę miał tak poważną, że Meggie poczuła jeszcze szybsze bicie serca. – Idź do łóżka – powiedział. – Ten pan przyszedł do mnie. – I wyszedł z pokoju, zanim Meggie zdążyła zapytać, co to, na miłość boską, za wizyta w środku nocy.

Przejęta do żywego pobiegła za ojcem. Na korytarzu usłyszała, jak Mo zdejmuje łańcuch przy drzwiach wejściowych, a gdy znalazła się w sieni, ujrzała ojca stojącego w otwartych drzwiach.

Do środka wdarła się noc – ciemna i wilgotna. Szum deszczu nasilił się złowieszczo.

– Smolipaluch! – krzyknął Mo w ciemność. – Czy to ty?

Smolipaluch? Co to za nazwisko? Meggie nie przypominała sobie, by je kiedykolwiek słyszała. Mimo to brzmiało jakoś swojsko jak odległe wspomnienie, niemogące się przyoblec w realny kształt.

Przez chwilę na dworze panowała cisza. Tylko deszcz bębnił, mru-
czał i szeptał, jakby noc przemówiła ludzkim głosem. Ale potem
usłyszeli kroki zbliżające się do domu i z ciemności wyłonił się męż-
czyzna, którego dostrzegli na podwórku. Długi płaszcz zmoczony
deszczem oblepiał mu nogi, a kiedy obcy wszedł w krąg światła wy-
lewającego się z sieni, Meggie zdawało się, że widzi mały, włochaty,
węszący pyszczyk – na ułamek sekundy wysunął się z plecaka, który
niósł mężczyzna, i natychmiast znów się schował.

Smolipaluch otarł rękawem mokrą twarz i wyciągnął rękę do Mo.

– Jak się masz, Czarodziejski Języku? – powiedział. – Dawno się
nie widzieliśmy!

– Dawno – powtórzył Mo, z wahaniem ściskając wyciągniętą
dłoń Smolipalucha i patrząc gdzieś obok, jakby się spodziewał, że
z mroku wychynie jeszcze inna postać. – Wejdz, bo się w końcu
przeziębisz. Meggie twierdzi, że już od kilku chwil sterczysz tu na
deszczu.

– Meggie? No tak, oczywiście.

Pozwolił się wciągnąć do sieni, po czym zaczął tak dokładnie lu-
strować dziewczynkę wzrokiem, że z zakłopotania nie wiedziała,
gdzie oczy podziać. W końcu też zaczęła mu się przyglądać.

– Urosła.

– Pamiętasz ją?

– Jasne.

Meggie uderzyło, że Mo dwa razy przekręcił klucz w zamku.

– Ile ona ma teraz lat? – spytał Smolipaluch, uśmiechając się do niej.

Był to dziwny uśmiech. Meggie nie umiała powiedzieć, czy wy-
rażał drwinę, protekcjonalność, czy po prostu zakłopotanie. Nie od-
wzajemniła uśmiechu.

– Dwanaście – odparł Mo.

– Dwanaście? No proszę.

Smolipaluch odgarnął z czoła ociekające deszczem włosy, które sięgały mu prawie do ramion. Meggie była ciekawa, jaki mają kolor, kiedy są suche. Zarost okalający jego wąskie wargi był rudawy jak futro bezpańskiej kotki, której Meggie czasem stawiała przed drzwiami miseczkę z mlekiem. Na policzkach sterczały podobnego koloru rzadkie włoski jak pierwszy zarost młodzieńca. Nic dziwnego, że nie zakrywały blizn – trzech podłużnych białych szram. Z powodu tych blizn twarz Smolipalucha wyglądała tak, jakby kiedyś popękała i ktoś ją skleił na nowo.

– Dwanaście – powtórzył. – Oczywiście. Wtedy miała... trzy lata, jeśli się nie mylę.

Mo skinął głową.

– Chodź, dam ci coś do przebrania – powiedział, ciągnąc gościa z taką niecierpliwością, jakby nagle zapragnął ukryć go przed Meggie. – A ty – rzucił jej przez ramię – ty idziesz spać.

I zamknął drzwi do swojej pracowni.

Meggie nadal stała w miejscu, pocierając zmarznięte stopy o łydki. Ty idziesz spać! Zdarzało się, że Mo rzucał ją na łóżko jak worek orzechów, kiedy robiło się późno. Czasem po kolacji ścigał ją po całym domu, aż w końcu, krztusząc się ze śmiechu, uciekała do swojego pokoju. A czasem był tak zmęczony, że wyciągał się na kanapie, a ona parzyła mu kawę, zanim położyła się spać. Ale nigdy jeszcze nie posłał jej do łóżka w taki sposób, jak to uczynił przed chwilą. Jej sercem targnął lęk i owładnęło nią dziwne przeczucie, że wraz z tym nieznajomym, którego nazwisko brzmiało tak dziwnie i tak swojsko zarazem, w jej życiu pojawiło się zagrożenie. Nagle pożałowała – gwałtowność tego uczucia ją przeraziła – że zawołała Mo, zamiast zostawić tamtego na dworze i niechby go deszcz zmył z powierzchni ziemi.

Podskoczyła ze strachu, gdy drzwi do pracowni Mo ponownie się otworzyły.

– Jeszcze tu jesteś? – zapytał Mo. – Idź do łóżka, Meggie. Zmykaj!

U nasady czoła miał tę charakterystyczną zmarszczkę, która pojawiała się tylko wtedy, gdy się naprawdę czymś bardzo martwił, i patrzył na nią tak, jakby była powietrzem, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej. Złe przecucie w sercu Meggie rośło, rozpościerając czarne skrzydła lęku.

– Każ mu odejść, Mo! – błagała, gdy ojciec popychał ją w kierunku pokoju. – Proszę! Niech sobie idzie. Nie lubię go.

– Kiedy się obudzisz jutro rano, już go tu nie będzie – powiedział Mo, opierając się o framugę drzwi. – Słowo honoru.

– Słowo honoru? Bez skrzyżowanych palców? – Meggie patrzyła mu prosto w oczy. Zawsze wiedziała, kiedy Mo kłamał, choćby nie wiadomo jak starał się to przed nią ukryć.

– Bez skrzyżowanych palców – odparł, podnosząc na dowód obie dłonie.

Wychodząc, zamknął za sobą drzwi, choć wiedział, że ona tego nie cierpi. Meggie przycisnęła ucho do drzwi. Usłyszała brzęk naczyń kuchennych. Aha, lisia bródka dostaje gorącej herbaty na rozgrzewkę.

„Mam nadzieję, że się nabawi zapalenia płuc” – pomyślała.

Nie musiałyby przecież zaraz umrzeć tak jak matka jej nauczycielki angielskiego. Rozległ się gwizd czajnika, a po chwili usłyszała, jak Mo wraca do pracowni, podzwaniając filiżankami na tacy.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, odczekała jeszcze kilka sekund, choć przyszło jej to z najwyższym trudem, po czym wysliznęła się na korytarz.

Na drzwiach do pracowni Mo wisiała mała blaszana tabliczka. Meggie знаła na pamięć wyryte na niej słowa. Na tych staromodnych spiczastych literach uczyła się czytać:

„Niektórych książek wystarczy skosztować,
inne się połyka,

a tylko nieliczne trzeba przeżuć
i strawić do końca”.

Dawno temu, kiedy jeszcze musiała wdrapywać się na skrzynkę, by odcyfrować ten napis, myślała, że chodzi o dosłowne przeżuwanie, i zastanawiała się, dlaczego Mo powiesił sobie na drzwiach słowa kogoś, kto profanuje książki.

Teraz już wiedziała, co to znaczy, ale dzisiejszej nocy nie interesowały jej słowa pisane. Dzisiejszej nocy chciała rozumieć słowa mówione – ciche, ledwie słyszalne słowa, jakie szeptem wymieniali za drzwiami obaj mężczyźni.

– Nie lekceważ go! – usłyszała Smolipalucha.

Jego głos brzmiał zupełnie inaczej niż głos Mo. Nikt nie mówił tak jak jej ojciec. Mo tym swoim głosem potrafił wyczarowywać żywe obrazy.

– Zrobi wszystko, żeby ją dostać! – odezwał się znowu Smolipaluch. – I wierz mi, jeśli mówię: „wszystko”, to znaczy wszystko.

– Nigdy mu jej nie oddam! – To był głos Mo.

– Tak czy inaczej ją dostanie! Mówię ci, są na twoim tropie.

– Nie pierwszy raz. Jak dotąd zawsze udawało mi się ich zgubić.

– Naprawdę? I myślisz, że długo tak możesz? A co z twoją córeczką? Myślisz, że jej się podobają te ciągłe przenosiny z miejsca na miejsce? Uwierz mi, wiem, o czym mówię.

Za drzwiami zapadła cisza. Meggie wstrzymała oddech w obawie, że tamci dwaj mogą ją usłyszeć.

Potem znów odezwał się ojciec. Mówił wolno, jakby jego język z trudem formował słowa:

– Więc co... powinienem zrobić twoim zdaniem?

– Jedź ze mną. Zaprowadzę cię do nich!

Brzęk filiżanki. Uderzenie łyżeczki o porcelanę. Jak głośne potrafią być w ciszy najlżejsze dźwięki.

– Wiesz, że Kozioróżec docenia twój talent. Na pewno by się ucieszył, gdybyś mu ją sam przywiózł. Ten nowy, którego wynalazł na twoje miejsce, to straszny partacz.

Kozioróżec. Jeszcze jedno dziwne nazwisko. Smolipaluch wyrzucił je z siebie, jakby się obawiał, że wypali mu ono język. Meggie poruszyła zgrabiętymi palcami u nóg. Zmarł jej już nawet nos, a w dodatku niewiele rozumiała z rozmowy obu mężczyzn, choć starała się zapamiętać każde słowo.

W pracowni znowu zapadła cisza.

– No, nie wiem... – powiedział w końcu Mo. Głos miał tak zmęczony, że Meggie serce ścisnęło się z żalu. – Muszę się zastanowić. Jak sądzisz, kiedy jego ludzie mogą tu być?

– W każdej chwili!

Te słowa padły ciężko jak kamień.

– W każdej chwili – powtórzył Mo. – No dobrze. W takim razie zdecyduję się do jutra. Masz gdzie spać?

– O, z tym nie ma kłopotu – odparł Smolipaluch. – Zdążyłem się już przyzwyczaić, chociaż ciągle jeszcze wszystko jest dla mnie za szybkie. – Roześmiał się ponuro. – Ale chciałbym wiedzieć, co postanowiłeś. Mogę przyjść jutro? Tak koło południa?

– Oczywiście. O wpół do drugiej odbieram Meggie ze szkoły. Wtedy możesz przyjść.

Meggie usłyszała odsuwanie krzesła. Rzuciła się do swego pokoju. Kiedy otwierały się drzwi do pracowni, ona akurat zamykała swoje. Leżała w łóżku z kołdrą podciągniętą pod samą brodę i nasłuchiwała, jak ojciec żegna się ze Smolipaluchem.

– Jeszcze raz dziękuję za ostrzeżenie – usłyszała jego głos.

A potem oddalające się kroki Smolipalucha – powolne, ociągające się, jakby nie mógł się zdecydować, czy odejść, jakby nie powiedział jeszcze wszystkiego, co zamierzał.

Ale w końcu poszedł sobie i tylko deszcz wciąż stukał drobnymi palcami w okna pokoju Meggie.

Kiedy Mo zjrzał do niej, szybko zamknęła oczy, próbując oddychać tak wolno i miarowo jak ktoś pogrążony w głębokim, niewinnym śnie.

Ale Mo nie był głupi. Czasem był przerażająco mądry.

– Meggie, pokaż stopę – powiedział.

Niechętnie wytknęła spod kołdry wciąż jeszcze lodowatą stopę, wsuwając ją w ciepłe dłonie Mo.

– Wiedziałem – powiedział. – Szpiegowałaś. Czy chociaż raz mogłabyś zrobić to, o co cię proszę?

Wzdychając, schował jej stopę pod rozkosznie ciepłą kołdrę. Potem usiadł na łóżku, przejechał dłonią po zmęczonej twarzy i spojrział przez okno. Jego włosy były czarne jak futerko kreta. Natomiast Meggie była blondynką tak jak jej matka, którą znała tylko z kilku wyblakłych zdjęć.

„Ciesz się, że jesteś bardziej podobna do niej niż do mnie – powtarzał jej Mo. – Moja głowa wyglądałaby fatalnie na dziewczęcej szyi”.

Meggie jednak wołałaby być podobna do niego. Nie było na świecie twarzy, którą by bardziej kochała.

– I tak nie zrozumiałam nic z tego, co mówiliście – wymamrotała.

– To dobrze.

Mo patrzył w okno, jakby Smolipaluch wciąż jeszcze sterczał na podwórku. Potem wstał i idąc do drzwi, powiedział:

– Spróbuj teraz zasnąć.

Ale Meggie nie chciała spać.

– Smolipaluch! Co to w ogóle za nazwisko?! – wybuchnęła. – I dlaczego on cię nazywa Czarodziejskim Językiem?

Mo nic nie odpowiedział.

– A ten, co ciebie szuka... słyszałam, jak Smolipaluch to mówił... ten Koziorożec. Kto to taki?

– Ktoś, kogo nie powinnaś znać – uciął ojciec, odwracając się w drzwiach. – Wydawało mi się, że nic nie rozumiałaś? Dobranoc, Meggie.

Tym razem zostawił drzwi otwarte. Światło z korytarza padało na łóżko, mieszając się z czernią nocy sączącą się przez okno. Meggie leżała, czekając, aż ciemność zniknie i zabierze ze sobą poczucie czającego się nieszczęścia.

Dopiero o wiele później zrozumiała, że nieszczęście nie zrodziło się tamtej nocy. Ono tylko wtedy cichaczem powróciło.